

EDMUND MOKRZYCKI

Jaką mamy demokrację?*

Myślenie o polskiej demokracji przepojone jest bezrefleksyjnym optymizmem. Pojawiająca się, ostatnio coraz częściej, ostra krytyka polskiej „klasy politycznej” bynajmniej tego obrazu nie zmienia. Przeciwnie, jest to próba wyjaśnienia w trywialnych kategoriach „złych polityków” zjawisk i procesów, które mają znacznie głębsze uwarunkowania.

W polskiej polityce nie brakuje nieodpowiedzialności, prywaty i niekompetencji. Nasze życie polityczne dotknięte jest partyjniactwem – ciężką chorobą demokracji polegającą na bezwstydnym podporządkowaniu interesu państwa interesom układów partyjnych. Z biegiem czasu, w miarę konsolidacji demokracji, na polskiej scenie politycznej zaczynają dziać się rzeczy, o których nie śnili ideologowie niegdysiejszej opozycji demokratycznej. Wszystko to skłania niektórych obserwatorów do wniosku, że polska klasa polityczna traci instynkt samozachowawczy. Tymczasem z badań wynika, że polska klasa polityczna prezentuje się bardzo dobrze na tle elit politycznych Europy Wschodniej; jest stosunkowo dobrze wykształcona, doświadczona, odpowiednio zróżnicowana i w miarę oświecona. Jeśli jej naganne postępowanie interpretuje się w terminach politycznego szaleństwa, to zapewne dlatego, że zakłada się, iż samo działanie mechanizmu demokratycznego powinno zmusić elity do właściwej troski o interes publiczny. Otóż wydaje się, że dziesięcioletnie doświadczenie polskiej demokracji obala to założenie.

Mamy do czynienia z trzema elementami sytuacji: klasą polityczną, mechanizmem demokratycznym i podmiotem politycznym, który tym mechanizmem z założenia włada, to znaczy społeczeństwem. Klasa polityczna reprezentuje stosunkowo wysoki poziom, mechanizm demokratyczny działa

* Skrócona wersja tego tekstu ukazała się w „Gazecie Wyborczej”, 11–12 grudnia 1999 r.

bez istotnych ograniczeń czy zakłóceń (w języku „tranzytologii” powiedziałyby się: przejście do demokracji w Polsce było kompletne). Coraz wyraźniej widać natomiast, że mechanizm demokratyczny, pozostając teoretycznie instrumentem „władzy ludu”, został w znacznym stopniu – bez porównania większym niż gdziekolwiek na Zachodzie – zawłaszczony przez część społeczeństwa i stał się instrumentem w grze partykularnych interesów. To, co wygląda na przejaw politycznej aberracji elit, jest racjonalnym (w sensie *zweckrational*) postępowaniem w tej grze.

DEMOKRATYCZNY INTERES

Ralf Dahrendorf już na początku „transformacji” napisał, że kraje pokomunistycznej Europy mogą w ciągu sześciu miesięcy osiągnąć wstępne porozumienie w sprawie demokratycznej konstytucji, ale minie sześć lat, zanim ujawnią się pozytywne efekty z liberalnych reform ekonomicznych, i sześćdziesiąt lat, zanim demokratyczna konstytucja i instytucje rynku ugruntują się w krzepkim społeczeństwie obywatelskim (*robust civil society*). Wcześniej Karl Polanyi twierdził, że rynek może się rozwijać tylko w rynkowym społeczeństwie. Jeszcze wcześniej Adam Smith pisał o zależności rynku od moralnej i kulturalnej kondycji społeczeństwa.

Atmosfera „okresu przejściowego” skłania do myślenia historycznego i asocjologicznego. W polskich dyskusjach politycznych – i nie tylko politycznych – demokracja i rynek nabierają cech uniwersalnych wynalazków cywilizacyjnych, których zastosowanie wymaga woli politycznej (demokracja) lub woli politycznej i przejściowych wyrzeczeń (rynek). Tymczasem demokracja i rynek są zawsze integralną częścią większej całości ustrojowej, co w socjologii jest prawdą dobrze ugruntowaną w dorobku teoretycznym, poczynając od *Wirtschaft und Gesellschaft* Maxa Webera.

Historia zna oczywiście wiele postaci demokracji występujących w różnych kontekstach społecznych. Demokracja liberalna, do której w Polsce właśnie „przechodzimy”, jest produktem europejskiego (europejsko-amerykańskiego) kapitalizmu, a u jej podstaw leży nie tyle wola polityczna większości, ile układ interesów w społeczeństwie.

Każda demokracja jest w interesie „ludu”. Rzecz w tym, kto to jest „lud”. W demokracji ateńskiej czy w polskiej demokracji szlacheckiej sprawa była prosta. W nowoczesnej demokracji liberalnej, wbrew pozorom, jest to kwestia bardziej złożona. Twierdzenie głoszące, że demokracja liberalna służy całemu społeczeństwu jest elementem liberalno-demokratycznej doktryny i tak należy

je traktować. Jest ono niewątpliwie bliższe rzeczywistości niż podobnie brzmiący propagandowy slogan na temat „demokracji socjalistycznej”, ale celem takich twierdzeń jest legitymizacja doktryny, a nie głoszenie socjologicznej prawdy. Układ interesów w nowoczesnym społeczeństwie jest zbyt skomplikowany, by jakkolwiek system polityczny był korzystny dla wszystkich.

Komu więc służy liberalna demokracja? Odpowiedzi na to pytanie trzeba szukać w genezie tej formy politycznej organizacji społeczeństwa. Nowoczesna demokracja kształtowała się w konflikcie o rolę przywilejów politycznych, tj. przywilejów wynikających z dostępu do władzy politycznej i państwowych środków przymusu, w społecznym podziale dóbr. Doktryna demokratyczna była doktryną ofensywną tych – coraz liczniejszych i silniejszych – którzy dobra i pozycję zdobywali własną pracą i zdolnościami, w przeciwieństwie do tych, którzy korzystali z kapitału politycznego w takiej czy innej postaci. Ci pierwsi, to późniejsza klasa średnia, która słusznie uchodzi za ostoję demokratycznego ustroju, ale pełni tę rolę nie dlatego, że akurat zajmuje środek zhierarchizowanej przestrzeni społecznej, lecz dlatego, że demokracja i rynek tworzą jej naturalne środowisko.

Historyczny związek demokracji liberalnej z kapitalizmem ma więc wykładnię makrosocjologiczną, by nie rzec klasową. Nie jest to wykładnia jedyna, ale niezwykle istotna: pozwala zrozumieć, dlaczego np. demokratyczny socjalizm (żeby nie wracać do niesławnej „demokracji socjalistycznej”) pozostaje złudzeniem. Liberalna demokracja może się dobrze rozwinąć i ukorzenieć tylko tam, gdzie odpowiada żywotnym interesom silnych warstw społecznych. I odwrotnie, tam gdzie żywotne interesy silnych warstw społecznych powiązane są z systemem jawnych czy ukrytych przywilejów politycznych, gdzie polityka (i presja polityczna) jest skutecznym przedłużeniem ekonomii, tam demokracja liberalna ma w najlepszym razie ugruntowanie ideologiczne, a funkcjonowanie demokratycznych instytucji zależy od woli elit politycznych.

Powyższa teza nie prowadzi bynajmniej do pomniejszania znaczenia innych aspektów społecznego uwarunkowania współczesnej demokracji, takich jak tradycja i kultura polityczna, system społecznych wartości czy po prostu poziom moralny i intelektualny elit politycznych. Teza ta mówi natomiast o pierwotności interesu w stosunku do ideologii, kultury i świadomości. Wszystkie te czynniki odgrywają ważną rolę, ale dopiero wówczas, gdy u ich podstaw leży silny interes demokratyczny.

PIĘKNA ILUZJA

Nie wszyscy w Polsce pamiętają, że pojęcie społeczeństwa obywatelskiego, zapomniane przez wiele dziesięcioleci, wróciło do politycznego i akademickiego dyskursu za sprawą polskich wydarzeń z lat 80. W latach 90. pojęcie to zrobiło niebywałą karierę. Dziś jest już pojęciową kliszą rozpracowywaną na „definicje operacyjne” i skale pomiarowe. Obecnie jednak o społeczeństwie obywatelskim mówi się raczej w odniesieniu do np. Anglii czy krajów skandynawskich, Polska zaś uchodzi za kraj mało pod tym względem interesujący.

Entuzjastyczna diagnoza z początku lat 80. była błędem. Z prawdziwych przesłanek wyprowadzono fałszywy (niestety) wniosek. Przesłanki mówiły o spontanicznym rozwoju i wspaniałej postawie polskiej opozycji w latach 70. i 80. oraz zadziwiającym wydarzeniu, jakim było doprowadzenie do pokojowej zmiany ustroju przez ruch społeczny „Solidarność”. Pojęcie społeczeństwa obywatelskiego nasuwało się samo i to nie tyle ze względu na „obywatelski” charakter politycznej opozycji i społecznego ruchu (ludzie piszący po angielsku czy niemiecku nie mieli tych skojarzeń), ile z uwagi na to, że dziesięciomilionowa „Solidarność” stworzyła bezprecedensową alternatywę dla (komunistycznego) państwa ugruntowaną w oddolnej aktywności ludzi ze wszystkich grup, środowisk i zawodów.

„Solidarność” mogła zaspokoić oczekiwania wszystkich wyznawców „społeczeństwa obywatelskiego”, niezależnie od tradycji teoretycznej, z której to wieloznaczne pojęcie czerpali: zapełniła przestrzeń społeczną pomiędzy rodziną a państwem, przeciwstawiała się państwu i była wzorem *civility* – kultury obywatelskiej-przynajmniej jak na tę część Europy.

Lewicowym, a po części także liberalnym, intelektualistom i politykom zachodnim „Solidarność” jawiła się jako fenomenalne połączenie ideałów niezależności, samoorganizacji i kultury obywatelskiej. Idea „samorządnej Rzeczypospolitej” nie tylko potwierdzała te wyobrażenia, ale stanowiła rozbudowaną wykładnię idei państwa jako emanacji samoorganizującego się społeczeństwa. Ożywione dyskusje intelektualne wokół tej kwestii, głównie w Polsce, ale również na Węgrzech, stały się rewelacją intelektualną na skalę światową. Wielu zachodnich intelektualistów szukało w tych dyskusjach pomysłów na rozwiązanie problemów Zachodu. Jean Cohen i Andrew Arato, autorzy monumentalnej *Civil Society and Political Theory*, przewidywali np., że aktywna rola społeczeństwa obywatelskiego znajdzie swój wyraz w konstytucjach wschodnioeuropejskich, co z kolei wpłynie na rozwój konstytucji zachodnich.

Niewiele z tej pięknej wizji przetrwało do dziś. Jak zauważył Jerzy Szacki, „paradygmat społeczeństwa obywatelskiego, ukształtowany dużo wcześniej

przez zachodnią myśl polityczną, ulega w Europie Wschodniej rozkładowi: obywatel to nie *bourgeois* (Szacki 1994: 125). Ta konstrukcja teoretyczna nie mogła się sprawdzić, próbowała bowiem rozdzielić to, co historia złączyła. Fenomen „Solidarności” ożywił wiarę liberalnej lewicy na Zachodzie w nadejście świata społecznego, który weźmie z kapitalizmu wolność i demokrację, ale bez rynku i nierówności. Rozwój sytuacji w Europie Wschodniej – nie tylko w Polsce – jeszcze raz pokazał, że, niestety, jest to wiara utopijna.

Polska „Rzeczpospolita samorządna” nie przetrwała systemu, z którym walczyła. To specyficzne okoliczności tej walki powołały ją do życia i nadały znamiona społeczeństwa obywatelskiego. Upadek komunizmu przyniósł nie tylko „walkę na górze”, ale błyskawiczną, lawinową dezintegrację całego syndromu polskiego „społeczeństwa obywatelskiego”, w każdym z podstawowych znaczeń tego terminu.

Po rewolucyjnej euforii wróciła socjalistyczna rzeczywistość, której nieodłącznym atrybutem jest dezintegracja tkanki społecznej. Jej objawy były wielokrotnie opisywane. W kontekście kwestii tu poruszanej najważniejsze jest osłabienie i degeneracja więzi horyzontalnych prowadzące do stanu, który Stefan Nowak nazwał próżnią społeczną. W nowoczesnym społeczeństwie więzi horyzontalne tworzą „kapitał społeczny” owocujący społeczną solidarnością, zaufaniem i bezinteresowną pomocą. To dzięki takim więzom rozwijają swą działalność dobrowolne, niezależne stowarzyszenia i instytucje, a spontaniczne inicjatywy obywatelskie mają swój dalszy ciąg w działaniach samoorganizujących się społeczeństwa.

Zmiany ustrojowe poprawiły radykalnie warunki kształtowania się więzi horyzontalnych, nie zlikwidowały jednak „próżni społecznej”. Przeciwnie, nastąpił nawet pewien regres w tym zakresie. Wrogi stosunek do władz komunistycznych jednoczył ludzi, stwarzał platformę porozumienia i namiastkę autentycznych więzi horyzontalnych. Dziś brak tych więzi (powiedzmy: ich nikłość) jest bardziej widoczny niż kiedykolwiek. Mamy wprawdzie około dwudziestu tysięcy organizacji pozarządowych skupiających blisko dwa miliony wolontariuszy i pracowników, ale zarówno władza, jak i ogół społeczeństwa traktują tę sferę trochę jako hobby, trochę jako filantropię.

W życiu codziennym potęguje się niezyczliwość, podejrzliwość, agresja, brak współdziałania, brutalizacja obyczajów, kult siły i sprytu. Maria Dudkiewicz z Instytutu Stosowanych Nauk Społecznych UW analizując przekaz moralny polskich reklam pisze, że sugerują one często, iż „dokonanie zakupu pozwoli nam bez przeszkód osiągnąć wszystko poprzez zachowania agresywne, chamskie, egoistyczne i nieuczciwe” („Śmierć inaczej ubranym frajerom”, „Rzeczpospolita”, 12–13 czerwca 1999). Autorka martwi się, że reklamy takie

źle wpływają na świadomość społeczną. To prawda, ale jest gorzej: reklamy robią specjaliści, którzy wiedzą jak trafić do odbiorcy, jak znaleźć się z nim na jednej fali.

Współczesny Polak ma skłonność do widzenia świata społecznego w kategoriach gry o sumie zerowej. Takiej filozofii społecznej – ugruntowanej przecież w doświadczeniach ludzi, a nie w ich psychicznych dewiacjach – nie można żadną miarą pogodzić z ideą społeczeństwa obywatelskiego.

Paradoksalnie, myślenie w tych kategoriach nie pomniejszyło skłonności do myślenia w kategoriach w swoisty sposób konkurencyjnych, tj. w kategoriach my–oni, my–ludzie, społeczeństwo, oni–władza, politycy, państwo. Tu tkwi jedno z głównych źródeł słabości polskiej demokracji. Dopóki państwo nie jest postrzegane jako forma politycznej samoorganizacji społeczeństwa, lecz jako siła zewnętrzna (*de facto* wroga i oszukańcza), dopóty demokracja liberalna nie ma warunków do silnego uкорzenia się.

DWA UKŁADY

Demokracja jest „władzą ludu”, trudno jednak znaleźć naiwnego, który by sądził, że w nowoczesnych demokracjach lud rządzi. Ale czy tylko głosuje?

Na pytanie to nie ma uniwersalnej odpowiedzi. Są kraje, w których demokracja kończy się na akcie wyborczym, i są takie, w których akt wyborczy ma istotne polityczne konsekwencje. Polska należy raczej do drugiej kategorii, lecz ma też swoją specyfikę. W Polsce kształtuje się mianowicie szczególnie wzór stosunków pomiędzy demokratyczną władzą a społeczeństwem. Z braku lepszego terminu proponuję go nazwać demokracją negocjacyjną. Jej cechą charakterystyczną jest szczególnie duże zróżnicowanie społeczeństwa, gdy idzie o dostęp do władzy (rozumiany jako możliwość wpływania na decyzje polityczne) i wynikające z tego korzyści. Przyczyną tego stanu rzeczy jest nałożenie się dwóch rodzajów zjawisk politycznych.

Z jednej strony Polska jest dosyć typowym przykładem „nowej demokracji”, co oznacza słabe społeczeństwo obywatelskie i niską kulturę polityczną, a w konsekwencji iluzoryczne upodmiotowienie polityczne społeczeństwa, mimo proceduralnej poprawności w funkcjonowaniu demokratycznego systemu władzy.

Polska demokracja odtwarza, w innej instytucjonalnej postaci, tradycyjną strukturę władzy, którą cechuje podział na „władzę” i społeczeństwo – „władzę” w tym charakterystycznym wschodnioeuropejskim sensie, którego nie

można oddać w języku angielskim czy francuskim. Pojęcie służby publicznej dopiero wchodzi do dyskursu politycznego i to raczej w kręgach elitarnych niż w społeczeństwie *tout court*.

Spółeczeństwo w swej podstawowej masie nadaje demokratycznie wybranej „władzy” atrybuty władzy autorytarnej i oczekuje „dobrego rządzenia” w stosownym stylu. Dobra „władza”, krótko mówiąc, to „dobry gospodarz” (świąteczny slogan wyborczy Waldemara Pawlaka). Demokratyczne procedury są pojmowane jako szczególny sposób wyłaniania „dobrego gospodarza”.

Z drugiej strony, w Polsce ukształtowały się bardzo silne grupy politycznego nacisku reprezentujące interesy niektórych środowisk pracowniczych. Grupy te wywierają wpływ na politykę rządu, decyzje parlamentu, władz lokalnych, liczy się z nimi prezydent i wszystkie inne instancje decyzyjne. Polska demokratyczna kontynuuje, w zmienionej konfiguracji, wypracowany w schyłkowej fazie socjalizmu „negocjacyjny” wzór stosunków politycznych, który pozwalał na (chwilowe) rozładowywanie napięć społecznych i częściową legitymizację władzy komunistycznej. Wzór ten przewidywał obchodzenie konstytucyjnych instancji i branie w nawias konstytucyjnych sposobów artykulacji interesów eksponując w zamian bezpośrednie negocjacje pomiędzy partią komunistyczną (działającą poprzez swoich reprezentantów, którzy też najczęściej nie stanowili reprezentacji statutowej) a awangardą najsilniejszych i najbardziej wojowniczych środowisk pracowniczych. Rezultaty negocjacji były później sankcjonowane przez konstytucyjne organa państwa.

Procedura negocjacyjna – tak pojęta – zajmuje obecnie mniej eksponowane miejsce w polskim systemie politycznym, a konstytucyjne organa państwa stanowią siłę realną, a nie polityczną atrapę. Niemniej jednak, bezpośrednie negocjacje pomiędzy „stroną rządową” a „stroną społeczną” w sposób istotny wpływają na politykę państwa i są najbardziej skutecznym sposobem artykulacji interesów grupowych.

Zachowała się również otoczka proceduralna i obyczajowa związana z takimi negocjacjami. Przetrwała też skłonność do włączania w proces negocjacyjny Kościoła katolickiego w roli mediatora w sporze pomiędzy „stronami”. Przedstawiciele Kościoła wystąpili w tej roli np. w czasie chłopskiej blokady dróg (1999). Co najważniejsze, przetrwała niepisana zasada nadrzędności negocjacji nad oficjalną polityką państwa i obowiązującym prawem.

W rezultacie negocjacji albo zgoła wyprzedająco, w celu uniknięcia „napięć społecznych” (konfrontacji z silną grupą interesu), organa państwa podejmują niekorzystne dla ogółu społeczeństwa decyzje ekonomiczne, dokonują dwuznacznych manipulacji w budżecie, odstępują od egzekwowania

zobowiązań podatkowych, a nawet od stosowania kodeksu karnego. Andrzej Lepper, który w kręgach władzy ma opinię warchoła lekceważącego przepisy prawa, jest w tych kręgach traktowany z atencją należną konstytucyjnej postaci politycznej. Sąd w Lublinie nie znalazł powodów do stwierdzenia, że Lepper „dokonał rażącego naruszenia porządku prawnego”, chociaż cała Polska mówiła wówczas o paraliżu kraju spowodowanym kierowanymi przez niego (i ewidentnie nielegalnymi) blokadami dróg. Po wyroku Lepper stwierdził, że „sąd stanął na wysokości zadania”. „Na wysokości zadania” stanął również rząd, który w pokrętej formie „zalegalizował” blokady *post factum*, prezydent, który zaprosił Leppera do pałacu prezydenckiego na Forum Rolnicze (10 marca 1999), lider „Solidarności”, który apelował o wyrozumiałe traktowanie przez wymiar sprawiedliwości uczestników blokad i większość społeczeństwa, która zaakceptowała tę formę protestu (w badaniach opinii publicznej pozytywny stosunek do blokad wyraziło około trzy czwarte respondentów). Człowi działacze PSL utrzymywali, że ruch Leppera nie naruszył prawa, ponieważ działał w słusznej sprawie, co „przyznał sam rząd”.

Przekonanie, że rząd miał prawo zalegalizować blokady i że – ogólnie – działania w słusznej sprawie są *eo ipso* działaniami legalnymi, było powszechne w wielu kręgach społecznych, co znajdowało wyraz w wypowiedziach przedstawicieli tych kręgów, a pośrednio również w wynikach badaniach opinii publicznej. Można to tłumaczyć w abstrakcyjnych kategoriach kultury prawnej (można np. nie bez podstaw przypisywać Polakom moralistyczną kulturę prawną) trudno jednak zaprzeczyć, że mamy do czynienia z kontynuacją wzorów rozwiązywania konfliktów wypracowanych w schyłkowym okresie PRL. Podobieństwo pomiędzy Lepperem a Wałęsą, które wiele osób dostrzega, wynika nie tylko z faktu stosowania podobnych metod, ale również z podobnego umiejscowienia tych postaci w faktycznie działającym (w odróżnieniu od konstytucyjnego) systemie politycznym.

Z socjologicznego punktu widzenia scena polityczna w Polsce jawi się jako składnik trzech elementów: (1) silnej, acz dosyć skorumpowanej klasy politycznej, (2) politycznie słabego i bezradnego społeczeństwa *tout court* (społeczeństwa obywatelskiego?), oraz (3) silnych, agresywnych, dobrze zorganizowanych grup politycznego nacisku. Gra polityczna jest *de facto* grą pomiędzy dwoma partnerami: (1) i (3). Partner (2) występuje w tej grze w gruncie rzeczy incydentalnie, w czasie głosowania. Nie jest to akt bez znaczenia: samo głosowanie stawia już granice samowoli rządzących. Podstawowe znaczenie ma jednak fakt uprzywilejowanego, pozakonstytucyjnego dostępu do władzy grup nacisku.

Skutkiem tego życie polityczne w Polsce toczy się jak gdyby w dwu układach. Układ pierwszy obejmuje całe społeczeństwo, a u jego podstaw leży

stosunkowo mało efektywny mechanizm demokratyczny. Układ drugi obejmuje klasę polityczną oraz względnie stałą grupę partnerów „społecznych”, tj. dobrze zorganizowanych reprezentacji silnych środowisk pracowniczych (ostatnio również chłopów). Ten układ reprodukuje w nowych warunkach ustrojowych stosunki pomiędzy władzami upadającego realnego socjalizmu a zbuntowaną klasą robotniczą.

Szeroko pojęta polityka gospodarcza państwa kontrolowana jest przez układ drugi. Kontrola ze strony społeczeństwa *tout court* jest raczej iluzoryczna. Głosy wyborcze działają istotnie i to z wyprzedzeniem: dziennikarze nie bez powodu twierdzą, że główną busolą polskiej polityki, zastępującą pryncypia programowe, są dane z badań opinii publicznej. Rzecz w tym, że opinią publiczną, jej rytmem i ogólnym kierunkiem, też w znacznym stopniu kieruje układ drugi.

Tak więc, i pod tym względem życie polityczne Polski demokratycznej jest kontynuacją życia politycznego Polski socjalistycznej, w której nastroje społeczne kształtowały się pod wpływem wydarzeń w nieustającym konflikcie pomiędzy władzą komunistyczną a silnymi środowiskami pracowniczymi. To tłumaczy, dlaczego polska klasa polityczna tak nerwowo reaguje na każdy protest, np. górników, którzy jak na polskie warunki są nadzwyczajnie uprzywilejowani, i jest zupełnie obojętna wobec niezadowolenia potencjalnego elektoratu w zatomizowanej i mało bojowej większości społeczeństwa, obejmującej środowiska dotknięte nędzą i zagrożone degradacją do poziomu podklasy, jak np. stutysięczna rzesza byłych pracowników państwowych gospodarstw rolnych.

MIĘDZY DEMOKRACJĄ A OLIGARCHIĄ

Z istnienia tego dwuukładowego systemu politycznego wynikają dla Polski konsekwencje dobre i złe. Z jednej strony powstanie, a właściwie przetrwanie układu negocjacyjnego zapobiegło ewolucji polskiej demokracji w kierunku rosyjskiego modelu demokracji oligarchicznej. Ewolucji w tym kierunku sprzyjała nasza tradycja polityczna, słabość społeczeństwa obywatelskiego i siła różnych elit – od postkomunistycznych (nomenklaturowych) do post-solidarnościowych. Silne, wywodzące się ze środowisk pracowniczych i uzurpujące sobie – niebezpodstawnie – mandat społeczny grupy politycznego nacisku tworzą zaporę na drodze do oligarchii znacznie silniejszą niż zabezpieczenia konstytucyjne. To dzięki tym grupom istnieje w Polsce równowaga sił stabilizująca system polityczny.

Z drugiej strony, owa równowaga sił jest równowagą w grze partykularnych interesów, w której dramatycznie przegrywa interes ogólny. Sektor publiczny w Polsce pochłania ponad 45% PKB, co jest liczbą zawrotną w zacofanym kraju, który planuje w ciągu kilku lat dołączyć do Unii Europejskiej poprzez rozwój gospodarki rynkowej. Równocześnie państwo skandalicznie zaniedbuje swe najbardziej podstawowe funkcje. Drastyczne ograniczenie wydatków na bezpieczeństwo publiczne, wymiar sprawiedliwości, naukę, edukację, infrastrukturę i ochronę środowiska powoduje, że każda z tych dziedzin jest w stanie opłakanym lub wręcz kryzysowym. Jeśli w pierwszych latach obecnej dekady drastyczne ograniczanie nakładów na te dziedziny można było tłumaczyć „trudnościami okresu przejściowego”, to obecnie widać już dobrze, że są to ograniczenia systemowe, uwarunkowane układem sił politycznych, a więc pozostaną z nami, dopóki będzie panować demokracja negocjacyjna.

Nadmiar słusznych celów, również po stronie tych, którzy mają uprzywilejowany dostęp do władzy (czy to dlatego, że rządzą, czy to dlatego, że rządzący akurat ich się boją), jest cechą stałą i niezbywalną. Odwoływanie się do „milczącej większości” – jak to niedawno zrobiło grono wybitnych uczonych – nic nie daje. Milcząca większość werbalnie popiera wszelkie słuszne cele nie zważając na ich wzajemne wykluczanie się, faktycznie zaś traktuje obrońców partykularnych interesów jako reprezentantów społeczeństwa wobec władzy, a więc – paradoksalnie – jak wyrazicieli interesu ogólnego. W tych terminach trzeba tłumaczyć fenomen roszczeniowej solidarności oraz spektakularny wzrost „zaufania” do Andrzeja Leppera w okresie kierowanej przez niego blokady dróg.

Tak skonstruowany system polityczny ma zakodowaną nieodpowiedzialność wobec społeczeństwa. „Nieodpowiedzialność” może oznaczać lekkomyślność i łagodną niepoczytalność – w tym sensie używa się tego terminu w ostatnich dyskusjach na temat polskich polityków. Można jednak użyć tego terminu, gdy brakuje cechy, którą Anglosasi nazywają *accountability*, to jest, gdy brakuje sprawnych mechanizmów pociągania do odpowiedzialności. Nieodpowiedzialność w drugim sensie jest właściwością systemu, dającą bezkarność ludziom, zachowującym się nieodpowiedzialnie w sensie pierwszym.

Polska klasa polityczna jest nieodpowiedzialna w sensie pierwszym, ponieważ jest nieodpowiedzialna – wobec społeczeństwa – w sensie drugim. Ugrupowania polityczne odpowiadają za swoje czyny głównie wobec najsilniejszych grup nacisku. Nie jest prawdą, że politycy kupują wyborców. Nie mają takiej potrzeby ani takiej możliwości, ponieważ wyborcy jako wyborcy nie

potrafią wchodzić w tego rodzaju transakcje i ciągnąć z nich korzyści. Politycy kupują natomiast „spokój społeczny”, to jest manipulują redystrybucję w taki sposób, by minimalizować i łagodzić objawy niezadowolenia po stronie najsilniejszych grup nacisku – i to nie tyle ze względu na bezpośrednie zagrożenie dla ładu publicznego, ile ze względu na wspomniane już podążanie opinii publicznej za głosem tychże grup. W tym szczególnym sensie grupy politycznego nacisku reprezentują społeczeństwo lepiej niż jego oficjalni przedstawiciele wybrani w wolnych, demokratycznych wyborach.

TRANSFORMACJA OSWOJONA

Polska „przeszła” do demokracji szybko, sprawnie i bez wewnętrznych konfliktów. Ale w życiu politycznym Polski ważną rolę odgrywają tradycyjne wzory zachowań politycznych ugruntowane w doświadczeniu z czasów realnego socjalizmu, kiedy to niezróżnicowany interes społeczeństwa reprezentowały najlepiej zorganizowane i najbardziej bojowe środowiska pracownicze.

Nie ma żadnych dowodów, że z upływem lat pozakonstytucyjny dostęp do władzy traci na znaczeniu. Raczej przeciwnie, następuje konsolidacja grup politycznego nacisku, umacniają się one organizacyjnie, zwiększają swoje możliwości w zakresie mobilizacji zwolenników i oddziaływania na nastroje społeczne. Zaciera się też granica pomiędzy konstytucyjnymi i pozakonstytucyjnymi mechanizmami władzy, co uwidoczniło się wyraziście w czasie przygotowań do reformy samorządowej, kiedy to w walce o granice w podziale administracyjnym lokalni reprezentanci rządu, współdziałając z urzędnikami lokalnego smorządu, mobilizowali zdezorientowaną lokalną opinię publiczną do protestów ulicznych w obronie partykularnych interesów lokalnych elit.

W Polsce panuje przekonanie, że Sejm służy do wyrażania interesów poszczególnych grup społeczeństwa. W tym właśnie duchu wyklada się pojęcie reprezentatywności. Istotnie, pojęcie interesu ogólnego większość polskich polityków traktuje jak pustą kliszę do wykorzystania dla własnej korzyści. Agresywna artykulacja egoizmu grupowego stała się znakiem rozpoznawczym postawy demokratycznej, który pokazuje się z dumą. „Mnie nikt nie powierzył odpowiedzialności za naród i państwo – powiedział szef górnictwa „Solidarności” podczas kolejnego wstrząsu spowodowanego górnictwym protestem. – Jako przewodniczący związku bronię interesu pracowników kopalń, a przede wszystkim naszych związków” („Gazeta Wyborcza”, 25 maja 1999). Nieco później tenże przewodniczący wyjaśnił jak rozumie „obronę interesu pracowników kopalń”: „W każdej spółce (węglowej) pracuje przynajmniej 25 tysięcy

lekku uzbrojonych ludzi. Nie chcę myśleć, co by było, gdyby nie dostali wypłaty i pojechali do Warszawy. Mogliby zmieść pół stolicy” („Gazeta Wyborcza”, 3–4 lipca 1999).

Demokracja negocjacyjna nadaje takim ludziom rangę reprezentantów społeczeństwa. Nie jest ona przejściowym wypaczeniem, lecz wyrazem układu sił w społeczeństwie, a zwłaszcza struktury interesów grupowych. Polska wersja demokracji prezentuje się dobrze w porównaniu z Rosją czy wieloma innymi krajami poradzieckimi. Ale, z drugiej strony, dzieli ją od wzorcowych demokracji zachodnich różnice systemowe. Ich zanikanie, zbliżanie się Polski do europejskiego wzorca, jest uwarunkowane zmianami w strukturze społecznej, a zwłaszcza rozwojem autentycznej i silnej klasy średniej oraz marginalizacją środowisk, których byt zależy od politycznych przywilejów. Dopiero gdy polski polityk będzie się bardziej bał kartki wyborczej w rękach mieszczucha, niż „lekku uzbrojonych” górników, będą warunki do ugruntowania się w Polsce demokracji liberalnej w pełnym tego słowa znaczeniu.

Jest to jednak sprawa odległej przyszłości. Demokracja to ustrój stabilizacji, a nie rewolucyjnych przeobrażeń strukturalnych. Wielki skok reformatorski w Polsce dokonał się w ciągu pierwszych miesięcy 1990 r., zanim demokracja uruchomiła mechanizmy artykulacji i instytucjonalizacji partykularnych interesów. Poczynając od drugiej połowy 1990 r. następuje proces „oswajania” reform, dostosowywania ich do istniejącej, ukształtowanej w gospodarce planowej, struktury interesów grupowych. Trudno sobie wyobrazić, żeby w warunkach demokracji parlamentarnej mogło być inaczej.

Wbrew pozorom, Polska stoi przed trudniejszym zadaniem modernizacyjnym niż pozostałe kraje „zaproszone” do negocjacji w sprawie przystąpienia do Unii Europejskiej. Blokady modernizacyjne (czyli, mówiąc wprost, przyczyny zacofania) tkwią nie tyle w systemie gospodarczym jako takim, ile właśnie w strukturze interesów grupowych. Polska ma trudniejszy niż pozostałe kraje wschodnioeuropejskiej „piątki” (Polska, Czechy, Węgry, Słowenia, Estonia) start z dwu względów: na silnie osadzoną w tradycji kraju i strukturze społecznej, niezwykle liczną, słabo wykształconą klasę chłopską w dziewiętnastowiecznym sensie i bojową, zaprawioną w walce o swoje interesy, cieszącą się społecznym poparciem, wielkoprzemysłową, posocjalistyczną klasę robotniczą.

Te dwie siły skutecznie hamują i będą hamować odgórną pęd modernizacyjny, czyli – jak powiedziałby Klaus Offe – kapitalizm zaplanowany. Będą też skutecznie, choć pośrednio, blokować rozwój klasy średniej. Na dłuższą metę zmiany strukturalne są nieuchronne, niezależnie od tego, czy Polska wejdzie do Unii Europejskiej, czy nie. Ale właśnie – na dłuższą metę, w złożonym procesie powolnych, stopniowych dostosowań i zewnętrznej presji

modernizacyjnej. Tego rodzaju procesy mierzy się w dekadach i pokoleniach raczej niż miesiącach i latach. Postępująca anarchizacja kraju może jednak tę prognozę uczynić nadmiernie optymistyczną.